**Nr. 22.** Lwów, dnia 21. Listopada 1869. **Rok I.**




**PISMO DWUTYGODNIOWE.**

Wychodzi w Niedzielę po 1. i 15. każdego miesiąca.

**Prenumerata kwartalna w miejscu wynosi 30 ct.; z przesyłką pocztową 36 cnt.; numer pojedyńczy kosztuje 5 cnt. — Prenumeratę miejscową i inseraty** za opłatą **4** centów od wiersza (petitem) przyjmuje księgarnia pp. Seyfartha i Czajkowskiego, lub też redaktor Piotr Zbrożek **Nr. 834$^1/_4$ przy ulicy Krzywej. — Prenumerata zamiejscowa** przyjmuje się pod adresem: „Administracya **Rękodzielnika** we Lwowie pod l. 834$^1/_4$."
Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty.

## Stan przemysłu krajowego.

Spojrzyjmy, jaki jest stan przemysłu w kraju naszym. Dawno już upadły te warsztaty, z którymi w początku bieżącego stulecia zaczęły współzawodniczyć zagraniczne fabryki. Zostały jedynie takie rękodzielnicze przedsiębiorstwa, w których jeszcze praca ręczna utrzymać się może. Lecz i te są prowadzone jak najgorzej.

Zamiast dążyć do rozwinięcia przedsiębiorstw wielkich, przemysłowcy nasi zakładają mnóstwo przedsiębiorstw drobnych. Z kapitałem choćby tylko kilkuset złotych otwiera rzemieślnik warsztat osobny tuż obok sąsiada. Niepomyśli, jak daleko korzystniej byłoby dla obydwóch, gdyby prowadzili wspólnym kapitałem warsztat wspólny. Często już po wielu latach przekonuje się, jak lekkomyślnie postąpił. Coraz mniej ma roboty, bo coraz nowe warsztaty powstają i coraz więcej przebywa produktów zagranicznych.

W małym warsztacie niepodobna myśleć o żadnych ulepszeniach, jakie postęp nowoczesny przynosi. Publiczność kupuje tańsze wyroby zagraniczne — nasz rękodzielnik nauczony smutnem doświadczeniem przekonuje się, że jego małe przedsiębiorstwo chyli się do upadku. Ale kapitału włożonego trudno wycofać bez straty; pracuje więc dalej w warsztacie swoim, narzeka na złe czasy, widzi, że będzie jeszcze gorzej, a nie ma odwagi pomyśleć o zmianie swego działania. Tak więc drobni przedsiębiorcy, przygnębieni współzawodnictwem przedsiębiorstw wielkich, nie mogą poznać, że jedynym ratunkiem dla nich jest połączenie słabych sił swoich i utworzenie wspólnego wielkiego warsztatu.

Przedstawialiśmy czytelnikom naszym, jak praca rozdzielona została na trzy główne rodzaje zajęcia: rolnictwo, przemysł i handel; następnie jak praca przemysłowa dalej rozdzieliła się na pojedyncze rzemiosła. Dalej wskazaliśmy, że wielkie wynalazki w mechanice, tudzież odkrycia w dziedzinie nauk przyrodniczych dozwoliły użyć sił przyrody w miejsce pracy ręcznej. Użycie sił przyrody, a mianowicie siły pary, jest znamieniem przedsiębiorstw fabrycznych; fabryki korzystając z sił przyrody, a zarazem z doprowadzonego do ostatecznych krańców podziału pracy, produkują daleko taniej, aniżeli ręczna praca w warsztatach.

Wreszcie udowodniliśmy, że życie przemysłowe jest ciągłą walką między przedsiębiorcami, z których każden chcąc sobie jak największy odbyt zapewnić stara się produkować jak najtaniej. W tej walce zwyciężyć muszą wielkie przedsiębiorstwa fabryczne, a ulegnąć muszą drobne przedsiębiorstwa warsztatowe. Warunkiem nieodzownym do założenia wielkiego przedsiębiorstwa jest wielki kapitał. Kapitaliści więc przedsiębiorstwa swoje rozwijają w coraz obszerniejszych rozmiarach, i łatwo pokonują słabych współzawodników, którzy pracują w małych warsztatach, jak pracowali ich ojcowie, a nie widzą, że w prze-

ciągu kilkudziesięciu lat zmieniły się wszystkie stosunki, że zatem co wystarczało dawniéj do pomyślnego powodzenia, to obecnie do upadku prowadzi.

Cóż czynią ci, którym większe zasoby i pomyślniejsze stosunki dozwoliły dorobić się majątku? Czy zysków swoich używają na rozszerzenie przedsiębiorstwa? czy zakupują wydoskonalone maszyny i sprowadzają wykształconych robotników? czy synów swoich kształcą na przemysłowców, wysełają ich za granicę, aby poznali nowoczesne wynalazki, aby nauczyli się od cudzoziemców, jak w dzisiejszych stosunkach pracować trzeba?

Przeciwnie. Jak we wszystkiem innem tak i pod tym względem przemysłowcy nasi nie naśladują zagranicznych. Skoro który z nich dorobi się majątku, natychmiast kupuje wieś lub kamienicę, i w bezczynności przepędza resztę życia. Dzieci jego często wstydzą się, że ojciec był rzemieślnikiem, a za żadną cenę nie powróciłyby do warsztatu. Tą drogą nieliczne kapitały pozostałe na naszej ziemi usuwają się od przedsiębiorstw przemysłowych. Kraj cierpi na tem najwięcéj, bo żadne przedsiębiorstwo nie rozwinie się do takich rozmiarów, aby śmiało współzawodniczyć mogło z obcemi.

Niestety to zapoznanie własnego interesu objawia się zarówno w miastach jak na wsi. Zamożni właściciele ziemscy nie myślą bynajmniéj o zakładaniu fabryk w celu przerabiania płodów rolniczych. Daleko im wygodniéj wysełać za granicę płody surowe, i opłacać je drogo, gdy wrócą przerobione, zamiast starać się o trwałe podniesienie gospodarstwa rolniczego przez odpowiednie przedsiębiorstwa przemysłowe.

Grosz zebrany za zboże i bydło rzucany bywa w grę giełdową. W téj szalonéj spekulacyi łatwiéj jeszcze, niż gdziekolwiek, zwyciężają wielkie milionowe kapitały. Więc ostatecznie po kilku zmianach kursu papierów giełdowych utoną drobne kapitały nasze w bezdennych skrzyniach wiedeńskich bankierów.

Dzięki téj lekkomyślności, téj obojętności na los przyszłych pokoleń, przemysł w kraju naszym nie postępuje ani krokiem naprzód, podczas gdy za granicą robi postępy olbrzymie. To też z każdym dniem wyraźniéj objawia się zależność naszego kraju od sąsiednich krajów zachodnich. Musimy sprowadzać od obcych wszelkie wyroby przemysłowe, od przedmiotów zbytkownych aż do rzeczy powszedniego użytku. Podczas gdy fabryki zagraniczne codziennie się mnożą i powiększają, nasza ludność miejska, jakkolwiek nieliczna, często nie może znaleść zarobku. Nasze małe warsztaty zaledwie nędznie istnieją lub upadają, a wszędzie otwierają się składy zagranicznych wyrobów. Słowem nasz kraj ubożeje, a obcy jego kosztem się bogacą.

Przecież od niejakiego czasu dostrzedz można zwrot pomyślniejszy o tyle przynajmniéj, że zaczynamy więcej zastanawiać się nad naszem położeniem. Czujemy wszyscy, że jest źle, a widzimy, że stan obecny bynajmniéj nie obiecuje nam polepszenia naszéj doli. Należy zatem poznać dokładnie przyczyny złego, i szukać środków ratunku. W tym celu skreśliliśmy obraz życia przemysłowego, jak rozwijało się od początku aż do chwili obecnéj. Znając konieczne warunki w jakich nowoczesny przemysł jedynie kwitnąć może, znając stan naszego kraju i stosunek jego do krajów sąsiednich, łatwo nam będzie wskazać drogę, na któréj postępując wytrwale dojdziemy niezawodnie do lepszéj przyszłości.

---

Przemysłowcy i rzemieślnicy nasi, jeżeli chcą oprzeć się współzawodnictwu fabryk zagranicznych, muszą łączyć się, aby w miejsce przedsiębiorstw małych utworzyć przedsiębiorstwa większe. Niechaj to połączenie będzie spółką kilku w celu założenia przedsiębiorstwa wspólnym kapitałem, lub niechaj będzie stowarzyszeniem wielu, którzy zjednoczą się aby razem popierać wspólne interesa.

Spółki powinni zakładać ludzie zamożniejsi, którzy posiadają zasoby wprawdzie dość znaczne, lecz nie wystarczające na rozwinięcie przedsiębiorstwa do takich rozmiarów, aby mogło współzawodniczyć z zagranicznemi. Jeżeli kapitał kilku tysięcy guldenów był dostatecznym dawniéj do założenia i utrzymania warsztatu, to niewystarczy dziś, kiedy do pomyślnego powodzenia przedsiębiorstwa konieczne są wydoskonalone narzędzia i maszyny, kiedy z ułatwieniem komunikacji coraz więcéj przybywa wyrobów obcych. Łącząc kapitały swoje w jeden kapitał zbiorowy będą mogli spólnicy sprowadzić maszyny i urządzą warsztat swój na sposób fabryczny, tak iż przez użycie maszyn i podział pracy będą mogli daleko taniéj wyrabiać swoje produkta. Oprócz téj głównéj korzyści nastręcza spółka jeszcze inne. Spólnicy będą kupować materyały w wielkiéj ilości i z pierwszéj ręki, dostaną je przeto daleko taniéj niż dziś, kiedy opłacać muszą pośredników, to jest handlarzy trudniących się sprowadzaniem i sprzedażą tych artykułów. Otworzą także spólnicy jeden sklep, i zapłacą daleko mniéj, niż gdyby każden z nich utrzymywał sklep osobny. Wreszcie spółka łatwo znajdzie kredyt czy to w banku, czy też w fabryce, z któréj sprowadza materyały. Wszystkie te korzyści przyczynią się do tego, że wyroby spółki będą kosztować daleko mniéj, niż kosztowały wyroby każdego ze spólników, dopokąd pracował w osobnym małym warsztacie, kupował drogo materyał od handlarza, w małéj ilości, i miał mały kredyt. Wyrabiając taniéj swoje produkta będą mogli spólnicy taniéj je sprzedawać, zapewnią sobie wielki odbyt, i nie będą się lękać współzawodnictwa obcych. Pewném jest, że wspólne przedsiębiorstwo tyle przyniesie dochodu, że przy obliczeniu zysków na każdego ze spólników przypadnie kwota znacznie większa od téj, którą mógłby zarobić pracując na swoją rękę.

Trudno pojąć, dlaczego pomimo tylu korzyści tak mało u nas rozpowszechnione są spółki. Za granicą prawie każden zakładający przedsiębiorstwo szuka przedewszystkiem spólników, chociażby miał fundusze dostateczne do rozpoczęcia przesiębiorstwa. U nas przeciwnie każden sam występuje i lekkomyślnie przecenia własne siły, nic dziwnego więc, że pojedynczych łatwo pokonują przedsiębiorcy zagraniczni.

Gdyby przemysłowcy nasi poznali tę prostą prawdę, że tylko zjednoczonemi siłami oprzeć się zdołają, gdyby zamiast rzucać się pojedynczo, wystąpili razem i zgodnie, bez wątpienia wkrótce zbieraliby owoce wspólnéj pracy.

Lecz spółka może być zawiązaną tylko między mniejszą ilością osób, które się znają dobrze i wzajemnie sobie zaufać

mogą. Jeżeli zaś trzeba zjednoczyć osób wiele, które takiego zaufania ku sobie mieć nie mogą, aby cały swój kapitał oddawały na fundusz zbiorowy — w takim razie o spółce mówić nie można, ale należy myśleć o zawiązaniu stowarzyszenia.

Człowiek ubogi zostawiony sam sobie nic zdziałać nie potrafi, ani dla polepszenia swojego bytu, ani dla dobra powszechnego. Skoro jednak ci ludzie, tak słabi pojedynczo, złączą się w towarzystwo, zdołają dokazać rzeczy nadzwyczajnych, a siła ich wzmoże się, w miarę jak towarzystwo mieć będzie dziesiątki, setki, lub tysiące członków.

S t o w a r z y s z e n i e powinne tak łączyć uboższych rzemieślników naszych, jak spółki wiążą zamożniejszych przemysłowców. Przeważna część naszych rzemieślników samodzielnych — majstrów — składa się z ludzi ubogich, którzy nie mają odpowiedniego kapitału i nie mają także kredytu, lecz ponieważ każdemu miła jest niezawisłość, przeto każden z nich dąży wszelkiemi siłami do tego, aby został majstrem, a skoro nim zostanie, otwiera warsztat. Zaciągając pożyczkę lub biorąc materjał na kredyt musi ubogi majster opłacać ogromne procenta lichwiarzowi, od którego pożycza pieniądze, lub też handlarzowi, który mu sprzedaje materjał. W tém smutném położeniu rzemieślnik pracuje tylko na swego wierzyciela. Nie może on tak podnieść ceny swoich wyrobów, aby oprócz zapłaty odpowiedniej wartości roboty zostało jeszcze na procenta lichwiarskie. Gdyby bowiem tak uczynił, gdyby wyroby swoje chciał sprzedawać drożej niż inni, odstręczyłby niezawodnie publiczność i nie miałby żadnego odbytu. Musi przeto przestać na zwykłéj cenie, i z téj ceny opłacać musi procenta lichwiarskie. Pochłoną te procenta cały czysty zysk, jaki po strąceniu kosztów wyrobu się okazuje — nie może bowiem ten zysk być wielkim, ponieważ współzawodnictwo zmusza do zniżenia ceny.

Co rzemieślnikowi pracującemu kapitałem własnym przypada jako czysty zysk, to rzemieślnik nie mający własnego kapitału oddać musi lichwiarzowi lub handlarzowi. Daremnie więc biedny majster dążył do tego, aby zostać niezawisłym; jest on w zależności zupełnej od tych, co mu pożyczają pieniędzy lub kredytują materyał, musi im oddawać cały czysty zysk, musi na nich pracować w pocie czoła, i zadowolnić się tém, że przy największej oszczędności ledwie utrzyma siebie i rodzinę swoją.

Jasną rzeczą jest, że w takiem położeniu nie może myśleć rzemieślnik o zaprowadzeniu w warsztacie swoim tych ulepszeń, jakie przynosi postęp przemysłowy. Żyje on z dnia na dzień, i przygnębiony biedą nie widzi nawet niebezpieczeństwa, jakie mu grozi przez współzawodnictwo wielkich przedsiębiorstw.

Aby z tego położenia się podźwignąć, wszelkie usiłowania pojedynczych osób nie wystarczą.

Rzemieślnicy majstrowie, jeżeli chcą oswobodzić się z tej niedoli, powinni połączyć się w stowarzyszenia, które jedynie swoją siłą zbiorową potrafią ich ocalić.

Są dwa rodzaje takich stowarzyszeń. Stowarzyszenie z a l i c z k o w e polega na tém, że członkowie przez drobne wkładki pozostające ich własnością, tworzą fundusz, z którego następnie zaciągają pożyczki spłacalne ratami.

Stowarzyszenie w celu d o s t a r c z a n i a m a t e r j a ł ó w zbiera fundusze swoje podobnie jak zaliczkowe, zakupuje z pierwszéj ręki i w wielkiej ilości te materjały, których członkowie potrzebują, i sprzedaje członkom za gotówkę po cenie oczywiście niższej, niż sprzedać mogą handlarze.

Stowarzyszenia te uzupełniają się nawzajem. Towarzystwo dostarczania materjałów nie potrzebuje zbierać wielkich funduszów, ponieważ łatwo uzyska kredyt, i będzie sprowadzać materjały jak najlepsze po cenie umiarkowanej, nie płacąc za nie aż dopiero później, to jest wtedy, gdy już wszystkie a przynajmniej część znaczną rozkupili członkowie. Lecz właśnie, aby mieć ten kredyt nie może sprzedawać inaczej jak za gotówkę.

Dla tego równocześnie należy założyć towarzystwo zaliczkowe, którego przeznaczeniem jest udzielanie pożyczek członkom. Towarzystwo zaliczkowe także uzyska kredyt, może mianowicie zaciągnąć dług w banku, i otrzymane w ten sposób pieniądze użyć na rozdzielanie pożyczek między stowarzyszonych.

Te dwa stowarzyszenia dając członkom swoim dobrodziejstwa taniego kredytu, oswobodzą ich od lichwy, i dozwolą im korzystać z owoców swej pracy.

Urządzenie towarzystwa zaliczkowego jest bardzo prostem, a należeć do niego powinni rękodzielnicy wszystkich rzemiosł. Przeciwnie w towarzystwie dostarczania materyałów powinni się połączyć ci jedynie, którzy tego samego materjału potrzebują. Zarząd funduszami tego towarzystwa, zakupno materyałów, oznaczenie ceny wedle gatunku, obliczenie, o ile można podnieść cenę, aby opędzić koszta administracyi i dać jeszcze członkom towarzystwa pewien zysk z końcem roku — są to takie zatrudnienia, któremi zająć się mogą tylko ludzie dokładnie obeznani w téj gałęzi przemysłu, dla której towarzystwo się zawiązało.

Gdybyśmy chcieli połączyć wszystkie rzemiosła w jedno stowarzyszenie, pozostałby wielki zamęt. Najstosowniej będzie, jeżeli rękodzielnicy rzemiosł pokrewnych utworzą odrębne towarzystwo wedle tego, jakich materyałów potrzebują do swoich warsztatów.

Takich grup jest cztery; — materyały bowiem głównie przerabiane w naszych warsztatach są następujące:

1. drzewo;
2. kruszce; mianowicie żelazo, miedź, cyna, ołów, i t. d
3. tkaniny; mianowicie wełniane, bawełniane i jedwabne;
4. skóry.

Do pierwszej grupy należą zatem rękodzielnicy, których materyałem jest d r z e w o. Są to stolarze, cieśle, tokarze, i t. p.

Do grupy drugiej należą rękodzielnicy, przerabiający k r u s z c e, a zatem kowale, ślusarze, mosiężnicy, blacharze, kotlarze i inni.

Do grupy trzeciej, której materyałem są t k a n i n y, należą krawcy męzcy i damscy.

Do grupy czwartej należą rękodzielnicy przerabiający skóry, jako to: szewcy, rymarze, siodlarze, rękawicznicy.

Zawisło oczywiście od stosunków miejscowych, gdzie jakie towarzystwo dostarczania materyałów ma się zawiązać.

We Lwowie n. p. najłatwiej mogłoby powstać towarzystwo krawców, w celu sprowadzania sukna, materyi bawełnianych i jedwabnych — jak równie towarzystwo szewców, ry-

marzy, siodlarzy i rękawiczników, w celu sprowadzania skór rozmaitego gatunku.

Jesteśmy przekonani, że zawiązanie takich towarzystw przyczyni się niezmiernie do podniesienia dobrobytu rękodzielników. Wierzymy także, iż skoro rzemieślnicy nasi raz wstąpią na tę drogę, gdy poznają świetne skutki takiego zjednoczenia, gdy zakosztują błogich owoców, jakie przynieść musi działanie wspólne — będą coraz śmielej postępowali naprzód. W dalszym rozwoju stowarzyszeń powstaną towarzystwa produkcyjne, których zadaniem będzie połączenie małych warsztatów w wielkie przedsiębiorstwa. Dziś mówić o tém byłoby przedwczesnem; rozpocznijmy więc od tego, co już teraz udać się musi przy zgodzie i pracy wytrwałej.

---

# Nie bajka.

(Ciąg dalszy.)

Wstało słońce rano, troszkę jeszcze zaspane, patrzy na świat drżącym promieniem, jak dziecko grymaśne. Gęste tumany mgły zawisły nad lasami, nad spokojnymi łanami zboża, nad domkiem leśniczego i nad niedaleką wioską Tynem. Obudziły się ptaszki z świegotaniem, przebywszy noc pod listkami drzew, otrzepują z rosy skrzydełka. Obudził się Bolesław orzeźwiony i zdrowszy niż ptaszek, począł się szybko ubierać.

— Ciekaw jestem czy Wandzia otrzymała mój liścik — mówił sam do siebie. — Pisałem jej, że dziś dwudziestego ósmego czerwca rano tędy będę przejeżdżać. Prosiłem, aby niby na poziomki raniutko wybrała się z siostrą na leśniczówkę. Ignaś pewnie mię nie zawiódł, musiał jej dać moje pismo. — O Wańdziu moja srebrna, ty teraz może jeszcze śnisz o aniołkach! Muszki brzęczą, już nad twoją główką, a tobie się śni o jakiejś niebieskiej muzyce! — Nie, jeszcze pewnie nie wstała, to za wcześnie. Jak to ślicznie musi wyglądać taka niewinna dziewczynka uśpiona z zamkniętemi oczkami! Czoło bez chmurki, usta wiśniowe, złożone jak dwa odchylone listeczki róży. Na skroni kilka niebieskawych żyłek, bez najmniejszego poruszenia.

Młody chłopiec marzył, mówił i ubierał się. Wszedł służący, czyścił suknie, przyniół kawę i nic nie mówiąc oddalił się z pokoju. Ubrawszy się, wyszedł także Bolesław. Minął sień i podwórze, odchylił zwolna furtkę i zwrócił się na drogę ku Tynowi. Droga prowadzi między polami prosto do tyńskiego dworu. Po przed dwór przejdę, myślał, do lasu Sawulaka, mało drogi nałożę, a nawet tamtędy bezpieczniej, bo mijam wioskę. W lesie pewnie już konie czekają. Miłoby mi było to prawda z nią się widzieć, ale nie ma chwili do stracenia oddział na broń czeka. Obowiązek pierwszy służyć ojczyźnie.

Idzie. Przed nim pole i zielone zboża, dalej dwór biały błyszczy szybami oświeconemi od słońca, dalej wioska, kościołek i szkółka, a daleko karczma. Po nad drogą w trawie kwiatki. Bolek urwał jeden, drugi, trzeci i składa bukiety. Może nie daremnie. Już blisko dworu, stanął. Przecie nie miał siły przejść tamtędy, a niby żywe zegarki grają w około polne koniki. Po chwili ocknął się młodzieniec z zadumy, spojrzał na dwór żegnając się może na długo, bo to czasy wojenne, jak piłką los rzuca człowiekiem, wyjął z kieszonki zegarek. Szósta minęła, nie ma czasu. Do dworu wstąpić za rano. Bądźcie zdrowi niewidziani! — zawołał i ruszył podwojonym krokiem, boczną dróżyną ku miejscu, gdzie miały czekać konie na niego.

Gdy już kilka kroków postąpił zdało mu się, iż usłyszał klaskanie w dłonie. Obrócił się i ujrzał postępujące panienki. Pędem strzały rzucił się ku nim. Trzy panienki i służący z koszem napełnionym zapasami żywności stanowiły małe grono idących. Wandzia jasnooka blondynka, jej siostra Marynia ciemna brunetka i trzecia daleka krewna Zbigniewa. Czy były ładne, zapytacie? W powieści każda dziewica piękna, a każdy młodzieniec odważny. Ja jestem w tem milszem położeniu, iż idąc zwyczajem powieściarzy nie odstąpię ani na włosek od prawdy. Gdybym szukał w głowie rysów na ułożenie pięknej twarzy kobiecej, to na piękną brunetkę Marynia by ich dostarczyła. Wandzia śliczna blondynka.

Bolesław zbliżywszy się do panien rozdzielił pomiędzy nie uzbierane kwiaty, zacząwszy od Wandzi, której drobną rączkę serdecznie ucałował.

— Muszę paniom bardzo podziękować, żeście się trudziły, ale dzisiejsze czasy tak są niepewne, iż może nawet nie miałbym odwagi iść w ogień...

— Gdyby, przerwała Wandzia?

— Gdybym nie otrzymał nowego zapewnienia, że o mnie pamiętać będziecie.

— Czy to koniecznie potrzeba powtórzyć?

— Tak, koniecznie dla mego uspokojenia. Patrzcie jak świat szeroki bez końca, a ja na nim nie mam nikogo, prócz waszej przyjaźni.

— I miłości, szepnęła jasnowłosa.

— O i miłości, moje srebrne ptasze! Wando moja! Polsko moja! Śpiewał Lenartowicz w niezrównanych swoich poezyach, ja za nim powtarzam sercem te słowa.

Marynia i Zbigniewa umyślnie po drugiej stronie drogi zbierają w zbożu bławatki, aby nie krępować swobody dwojga zajętych sobą. Poczciwa, serdeczna Marynia, zerwała parę czerwonych maczków i zbliżając się do Bolesława rzekła:

— Muszę panu ubrać kapelusz, pan lubi maczek polny.

— Bardzo pani dziękuję, to mój kwiat ulubiony, choć ma tylko kilka listków, ale czerwony, nawet w naszych krwawych czasach bardzo stosowny.

— Ja krwi nie lubię.

— Dla tego mnie pani krwawe kwiaty oddaje. Jeżeli zginę na wojnie, niech te niewinne kwiaty mię przypominają.

— Pan nie dobry, mówiła Wandzia. Ja panu dam niebieski bławatek, abyś pan nie mówił już o tym maku czerwonym.

Tak z kwiatków przychodziła rozmowa na ludzi, na siebie i znowu wracała do kwiatów. Nie dziw, wszystkie osoby zmierzające ku lasowi Sawaluka były młode, a serca ich kwitły miłością. Panny zapomniały o tem, że wnet się rozstaną... Nad Bolesławem ta myśl jak czarna chmura wisiała. Zostać nie podobna, a odjeżdżać ciężko. Przypomnienie o tem zostawiał na koniec. Tymczasem opowiadał o wczorajszem zdarzeniu z żandarmami. Mówią, żartują i postępują drogą. Mądre oczka blondynki niby we łzy oprawne, niby zamglone. Zdają się pa

trzeć na ziemię przez jakąś niebieską oponę, przez którą wszystko w różowych przedstawia się barwach. Może i Bolesław wtenczas wydawał się jej lepszym, doskonalszym od innych. Młodzieniec często podnosił na nią tęskne wejrzenie, chciał się nasycić jej widokiem na długo, może na całe życie. Wtenczas spotykał się z jej oczyma, a choć tak słodko i łagodnie świeciły, czuł, że pod tym wzrokiem krew w nim kipiała raźniej, jakby nowe życie napełniało mu piersi i — był szczęśliwym.

Już dochodzą do lasu. Kilka dębów w pole wybiegło, niby strażnicy, olbrzymi stoją rzadko szemrząc zębatym liściem w przeźroczystem. ciepłem, lekkiem powietrzu. Po przez grube konary przegląda miejscami kawał błękitnego nieba. Za tymi pikietami szumi gęsty bór zmieszanych dębów i sosen. Przez drzewa widać domek Sawulaka, przed domkiem zaprzężony wózek węgierski.

— Kwandrans na ósmą, rzekł Bolesław z westchnieniem spoglądając na zegarek, komu w drogę temu czas.

— Zostań pan jeszcze kwadrans, mówiła słodka Marynia.

— Nie mogę, późna godzina, tam mnie tak niecierpliwie oczekują, im prędzej wyjadę, tem wcześniej wieczorem tędy powracać będę.

— Pan i tak musisz wcześnie wrócić, ale teraz zostań pan jeszcze chwilkę. To mówiąc usiadła Marynia, przy niej Wandzia i Zbigniewa. Zmęczyła ich droga, musiały odpocząć.

— Jeszcze dziesięć minut, rzekł powstaniec, siadając także na murawie.

— Kochany Boleczek!

— Gdyby nie obowiązek, ale dobrowolnie zaciągnąłem się w powstańcze szeregi, więc powinienem być tém sumienniejszym.

— O tego panu nikt nie odmawia.

— Więc powinienem się starać o utrzymanie i potwierdzenie każdym krokiem tej dobrej opinii.

— Już pan zaczynasz wpadać w ton poważny. Powiedz pan lepiej, o której godzinie mamy pana oczekiwać.

— Będę się starać, jak najprędzej przyjechać.

Chwile szybko mijały. Bolesław rozmawiał, ale trzymał ręką łańcuszek od zegarka. Choć się zapatrzył i zagadał ocknął się przecie w porę.

— Jak to ciężko rozstawać się z paniami. Chciał jeszcze dalej mówić w tym tonie, lecz przypomniawszy sobie, że ma wrócić wieczorem, zaczął weselej: Do widzenia! wieczór tylko się zmierzchnie zapukam do okienka, i przestraszę pannę Wandzię. Albo nie wejdę cichutko do pokoju i stanę za panią, a pani będzie grać, śpiewać i widzieć mię pani nie będzie.

— Ja tak nie chcę. Pan wejdzie nie cicho, ale głośno, a my pana głośno powitamy, serdecznie...

Bolesław ujął jej rękę i ucałował. A była taka biała, słodka, aksamitna. Potem żegnał się z Marynią i jej kuzynką, siadł na bryczkę i odjechał. Twarzą obrócił się za siebie i widział długo stojące panny na brzegu lasu, a Wandzię wysuniętą parę kroków naprzód; i słyszał długo słowa pożegnania, które płynęły z ustek ślicznej blondynki, a do wyrazów różnych mięszał się jeden wyraz najczęściej: Mój drogi! Mój najdroższy! Ten wyraz głęboko wrył się w duszę młodzieńca i działał dziwnie, zachwycał go, czarował — upajał.

---

Nie wrócił wieczór powstaniec, próżno oczekiwany. Pojechał przez pola i lasy, gdzie go rozkaz starszyzny powoływał. Nie oglądał się poza siebie, bo często na drodze, którą właśnie minął, już stały austryackie straże, lub chłopskie warty. Więc kierował, jak mógł, ale nie tak, jakby mu się może podobało. Dostał broń, z nią przybył do oddziału. Przeszli granicę austryacką partyzanci, między nimi Bolesław.

Powstańcy odbywają pochody nużące, w skwarze letnim po piaskach lubelskich. Nocami spoczywają po lasach przy ogniskach. Na gołej ziemi, pod gołem niebem. To deszcz ich przemoczy, to słońce pot wyciska, to pragnienie pali, szczęśliwi, gdy choć z bagna wody napić się mogą, to głód dokucza, gryzą suchary twarde, jak kości, że usta kaleczą...

Po lasach słychać huk dział, i wystrzały karabinowe. To bitwa. Trąbki grają, komendy nie słychać, tylko echo roznosi wrzawę zmieszaną z ludzkich głosów, szczęku broni, rżenia koni i turkotu moskiewskich jaszczyków. Kule w twarde uderzają drzewa i ze stukiem odbijają się bezwładne. Uderzają w piersi powstańcze i obalają na ziemię najdzielniejszych bohatérów. Krew użyźnia wyschłą ziemię od letnich upałów. Krew ludzka, najserdeczniejsza, wylana z gorących serc poświęconych synów ojczyźnie. Kiedyś po latach, tam na tém miejscu, gdzie upadł powstaniec, powalony kulą moskiewską. na kwiatkach na krwi wyrosłych, pastuszek pasący trzody do snu się ułoży, albo wieśniak spracowaną głowę pochyli do spoczynku, lub może wytchnie podróżny, wtenczas ta krew ożyje, i we śnie stanie im przed oczyma czerwoną marą i wzywać będzie ich sprawiedliwe sumienia na sąd, i wleje uczucie zemsty w ich spokojne serca.

Zbudzi się pasterz, wieśniak, kupiec, podróżny i wzniosą prawice przeciw zabójcom i domagać się będą od Boga pomsty za krew niewinnie wylaną. Ich usiłowania zwiąże uczucie sprawiedliwości, przeciw jednemu wrogowi, dla jednej wielkiej prawdy wolności.

W Tynie, jak dawniej, kwitną łąki, spiewają ptaszki na polu, we wsi wieśniacy pomału się obracają, a ciężko pracują, biedni oni jak dzieci patrzą na ruch niezwyczajny, na przejeżdżających powstańców, sami często są ich przewodnikami, ale nie wiedzą, że tu o nich samych, o ich wolność, o ich majątek, o ich spokój domowy wojna wre zawzięta. Tyle narodu, a taki ciemny, ale poczciwy, bezmyślnie prawie powtarza, daj Boże dobrze temu, co nam dobrze radzi? Poczciwe to słowa, ale nie pierwej się ziszczą, aż dopóki lud nie powie: Tym daj Boże dobrze, ponieważ nam dobrze radzą, dopóki nie powie: Nam daj Boże dobrze, ponieważ dobrze sobie radzimy. Lecz nie — wtenczas już zniknie westchnienie, gdy naród cały radzić pocznie o sobie, wtenczas na miejsce słów czyny wystąpią.

W tyńskim dworze zawsze gwarno. Ciągle ktoś obcy przybywa. Jakiś komisarz narodowy, kilku powstańców w drodze do oddziału, ranny z zagranicy, z obozu przemycony do Galicyi, aby mógł się wyleczyć, i wrócić na powrót. Żandarmi

austryaccy kręcą się około dworu, śledzą, wietrzą. Zjeżdżają komisye, odbywają rewizye, przetrząsają i z kwitkiem wracają do miasta. Takie życie, przeplatanej nadziei i zawodów, oczekiwania i obawy, czasem radości przemijającej prędko, napełniało dwór tyński. A Wandzia? Wandzia chodziła do kościoła, co za wsią na wzgórku się wznosił. Czasem się modliła, częściej patrzała w próżne ławeczki, gdzie siadywał Bolesław i zkąd lubił klęczącą przy ołtarzu podziwiać i porównywać z cichym malowanym aniołem tuż nad głową klęczącej. Nie ma go, czy on teraz myśli o mnie? Że nie zginął o tém dobrze wiedziała, gdyż często, ktoś z zagranicy przybywał i opowiadał o jej ulubionym. Wiedziała nawet, że tęskni za nią, że przysłuchuje się przybywającym do obozu z ciekawością i dopytuje, czy kto przez Tyn nie przejeżdżał? A gdy kto o niej mu wspomni, a wieść radosną przyniesie, wtenczas szaleje z radości.

O tém wszystkiem wiedziała, ale jej smutno, a on tak długo nie wraca. Pusto w kościele, wyszła. W domu jej pusto i w ogrodzie samej nie wesoło. Zrywa kwiaty, zielone listki i białe róże i chciałaby mu je posłać, ale on daleko gdzieś walczy. Wiatr tylko jej półsłówka porywa, i lecąc z szumem po nad lasy szepce Bolesławowi wyznania dziewicy. On je rozumie, kocha, bez wyrachowania, bez pretensyi do jej przyszłości.

Przecież z czasem za długie jej się wydało odalanie młodzieńca. Bije się za ojczyznę, toż tyle innych się biło i wrócili i przynajmniej w odwiedziny przyjadą. A on poszedł i może o mnie zapomniał, a może on nieżyje, może mię okłamuje? Od takich myśli jasnowłose dziewczę zbladło, jasne oczka posmutniały. Matka patrzy na nią i radaby jej nieba przychylić, aby wypogodzić zachmurzone czoło kochanej córki. Lecz na daremnie. Czas, to lekarz najlepszy, on zasklepia rany, czy one są na ciele, czy na duszy. On wytrze zapisane w pamięci kobiecej nazwisko za Moskalami goniącego powstańca. Mijały dnie. Tydzień za tygodniem gdzieś w niepowrotną przeszłość się grzebie. Lato dojrzało bujnemi owocami i zeszła już jesień liśćmi zżółkłemi. Słońce już nisko zachodzi na niebie i babskie lato już przeszło, a krótkie dnie jesienne rankami ubielone białym mrozem. Już lada noc długa wyiskrzona przyniesie ze sobą mróz północny, lada wiatr silniejszy ściągnie śniegowe zawieruchy.

## Przegląd stowarzyszeń rękodzielniczych.

*Wykaz miesięczny* Stowarzyszenia wzajemnej pomocy rękodzielników lwowsk. z miesiąca paździer. 1869. — Z końcem miesiąca paździer. jest członków rzeczywistych 380. Majątek Stowarzyszenia wynosi:

*A. Fundusz zaliczkowy*: Stan funduszu tego był z końcem września 796 złr. 20 ct., w miesiącu paździer. b. r. wpłynęło z kwot zaoszczędzonych 183 złr. 75 ct., prowizya z wydanych pożyczek członkom wynosiła z końcem miesiąca września 120 złr. 78 ct., w miesiącu zaś w październiku wpłynęła prowizya z wydanych pożyczek członkom 33 złr. 53 ct., — razem 1.134 złr. 26 ct. — Zwrócono 6 członkom z kwot zaoszczędzonych 28 złr. 45 ct. — Pozostaje stan funduszu zaliczkowego z końcem miesiąca października b. r. 1.105 złr. 81 ct.

*B. Fundusz inwalidów, wdów i sierót*: Stan funduszu tego był z końcem września 800 złr 49 ct., w miesiącu paździer. wpłynęło z tygodniewych wkładek po 2 ct. od członków rzeczywistych 28 złr. 63 ct. darowizna od Wn. pana Mieczysława Darowskiego 10 złr. — Wynosi stan funduszu tego z końcem października b. r. 839 złr. 12 ct. i jedna obligacya indemnizacyjna galic. nr. 23.126 na 100 złr. nominalnéj wart.

*C. Fundusz rezerwowy*: Stan fund. rezer. był z końcem września 258 złr. 97 ct., w miesiącu paździer. wpłynęło z taks wpisowych 40 złr. 25 ct. i z rozprzedaży różnych druków członkom potrzebnych 5 złr. 78 ct., razem 305 złr. — ct.

Ogół majątku Stowarzyszenia po odtrąceniu wszystkich wydatków — wynosi z końcem paździer. **2.249 złr. 39. ct.** Z której to sumy pozostaje kwota na pożyczce 1.699 złr.

Lwów dnia 10. listopada 1869 r.

*Mayer August*, dyrektor. *Starak Józef*, skarbnik.
*Huczkowski Klemens*, sekretarz. *Schütz Fr.*, kontrolor.

*W stowarzyszeniu czeladzi rzemieślniczej „Gwiazda“ urządzono dnia 7. b. m. wieczorek dla rozrywki członków zwyczajnych i honorowych.* Program wieczorku był następujący: Kilka godzin w okręgu wieszczek: Tajemnice kart, czarodziejski wystrzał a la Bosco, za pomocą duchów, tajemnicza siła przyciągająca, pocztowy kurjer w powietrzu, zadziwiony cukiernik, ztamtąd tu, a ztąd tam, niewidoma ekspedycja, spadek po babce, zaczarowane zegarki, studja fizjognomiczne, czyli „Żywe Album“ podług Lavatera i Garricka.

Na zakończenie obraz z żywych osób przedstawiający „Wiarę nadzieję i miłość“, ułożony przez S. B., rzeczywistego członka Stowarzyszenia „Gwiazdy.“

Przed rozpoczęciem przedstawienia odśpiewało grono członków Towarzystwa Gwiazdy pieśń, *Dzwon*; między Oddziałem pierwszym a drugim *Tu Raj*; między oddziałem drugim a trzecim *Naprzód Junosze.*

Sala Towarzystwa była przepełnioną, goście bawili się doskonale. Każdy z obecnych wracając do domu przypominał sobie widziane szczegóły i musiał przyznać, że Gwiazda lwowska dobrze się ze swego zadania wywiązuje, podając swoim członkom tak miłe, moralne i kształcące zabawy.

Największą część wieczorka wypełnił pan Kohn swojemi produkcyami magicznemi, które doskonale się powiodły. Musimy podnieść tutaj już niejednokrotnie przez pana Kohna zupełnie beinteresownie ofiarowane usługi stowarzyszeniu Gwiazdy, za co mu się zupełne uznanie należy.

*Przemyśl* 8. listopada. W dniu uroczystości wszystkich świętych odbyło się walne zgromadzenie członków stowarzyszenia „Gwiazdy przemyskiej“. Podobnie jak towarzystwo lwowskie tegoż nazwiska, zawiązanem zostało to stowarzyszenie w celu wspólnej nauki i rozrywki rękodzielników.

Przybyli na zgromadzenie w znacznej liczbie radni miasta, przemysłowcy, adwokaci, członkowie towarzystwa pedagogicznego, przyrzekli pomoc swoją stowarzyszeniu, w tém przekonaniu, że przez jego utrwalenie przyczynią się do podniesienia oświaty i dobrobytu ludności naszego miasta. Oby ten przykład był pobudką dla innych dotychczas drzemiących miast, aby również w tym kierunku coś uczyniły.

Pan Frankowski naczelnik miasta uproszony przez członków „Gwiazdy“ na przewodniczącego, zagaił posiedzenie piękną mową, w której podnosząc ważność niezawisłej od rządu klasy rzemieślniczej dla spraw krajowych, wyrzekł te słowa do zgromadzonych towarzyszy: „Bądźcie dumni ale nie zarozumiali, że w niedalekiej przyszłości od ciebie klaso pracująca sterownictwo kraju zawisłem będzie“.

Wykazał w dalszej mowie, że przyczyną niskiego stanu rękodzieł u nas jest brak stowarzyszeń i szkółek rękodzielniczych, rozprężenie między rzemieślnikami i niechęć rządu do samoistnej klasy rzemieślniczej; w końcu zachęcał zgromadzonych gorącemi słowy do wytrwałości.

Następnie p. S. towarzysz ślusarski z warstatów kolei Karola Ludwika, jako sprawozdawca dotychczasowego wydziału, zanim przystąpił do omówienia czynności dokonanych, a poleconych wydziałowi przez poprzednie zgromadzenie towarzyszy rzemieślniczych, poprzedził je przemową do kolegów stowarzyszonych, w której wyjaśnił przyczynę opłakanego stanu towarzyszy rzemieślniczych tém: „że do niedawna praca nie była szanowaną, gdyż ta klasa w kraju, która na pergaminach opierała swe prawa, uważała klasę rzemieślniczą za bydło przykute do warstatów i pracujące dla jej wygody. Grzech przeszłości mści się i na potomkach, bo dziś jest jeszcze u nas partya, która wbrew duchowi czasu i nieuchronnej konieczności nie chce uznać zasad demokratycznych. Pracą tylko wytrwałą i płynącą z niej wyższością mozolną, zmusimy tych zacofanych do zadośćuczynienia wymogom wieku.“

Gdy mowca zdał następnie sprawozdanie z czynności wydziału prowizorycznego, wszczęła się żwawa dyskusya nad tém, czy wydział tymczasowy miał prawo zapraszać członków honorowych czy nie? Jedni utrzymywali, że nie miał do tego prawa; inni przeciwnie twierdzili, że jeżeli przeszło walne zgromadzenie umocowało wydział tymczasowy do przyjmowania członków zwyczajnych i balotowania nad ich przyjęciem, to analogicznie z tego umocowania wypływa niezaprzeczenie prawo zaproszenia członków honorowych. Na wniosek przewodniczącego rozstrzyga zgromadzenie, że wydział miał do tego prawo, poczem przewodniczący imieniem wydziału przedkłada listę członków honorowych. Po załatwieniu téj sprawy przystępuje zgromadzenie do wyboru wydziału z 9ciu członków i 5ciu zastępców z grona członków zwyczajnych i 3 kuratorów z grona członków honorowych.

Wybór wydziału wypadł pomyślnie; na kuratorów wybrano; dr. Waygarta, adwokata; p. Hükla, profesora gimn. i p. Zambasowicza, tutejszego mieszczana przemysłowca, ten jednak mimo próźb wydziału zrzekł się téj godności. Domyślając się przyczyny tego, a będąc przekonani, że p. Zambasowicz jako przemysłowiec dobrze znany klasie rzemieślniczej, mógłby przy swoich dobrych chęciach bardzo użytecznym być stowarzyszeniu, musimy oświadczyć, że nie pojmujemy takiej etykiety w sprawach publicznych. W miejsce p. Z. został wybrany trzecim kuratorem p. Ressig, inżynier warstatów kolejowych.

Wydział natychmiast się ukonstytuował, wybierając przewodniczącym dr. Waygarta, któremu p. Frankowski ustępując z krzesła przewodniczącego poleca w gorących słowach jako naczelnik miasta dzisiejszych członków Gwiazdy a przyszłych obywateli miasta i kraju. Nowo obrany prezes dziękując za zaufanie przyrzeka rzetelnie się wywiązać ze swego zadania, pomimo że jest pracą obarczony, będąc radnym miasta, członkiem wydziału rady powiatowej, prezesem towarzystwa muzycznego itd. P. Hükel, prezes towarzystwa pedagogicznego, przyrzeka także w swojem i kolegów imieniu pomoc stowarzyszeniu. Po załatwieniu jeszcze niektórych spraw przekazanych statutem walnemu zgromadzeniu, zamknął przewodniczący czterogodzinne posiedzenie.

Uważając zawiązanie tego towarzystwa jako znaczny postęp na drodze rozwoju naszej klasy rękodzielniczej, jako objaw prawdziwej **pracy organicznej**, z której błogich owoców nie **jednostki**, ale **ogół** korzystać będzie, życzymy „Gwiaździe przemyskiej“, jak najpomyślniejszego powodzenia.

*„Gwiazda“ tow. młodzieży rzemieślniczej w Tarnowie.*

Na dniu 25. b. r. odbyło się solenne nabożeństwo w kościele katedralnem na pamiątkę zawiązania towarzystwa, po ukończeniu tegoż udało się całe zgromadzenie na czele p. burmistrza dr. Bandurowskiego i pp. radnych do mieszkania na cel stowarzyszenia wynajętego.

P. Boczkowski jako kurator wystąpił z powitaniem szanow. gości, składając zarazem podziękę p. burmistrzowi i pp. radnym za zajęcie się przyprowadzeniem do skutku tak bardzo do oświaty potrzebnego stowarzyszenia dla młodzieży, prosząc by i nadal opiekować się niem raczyli.

Na co p. burmistrz odpowiedział również powitaniem, dodając, iż staraniem miasta powinno być jak teraz, tak i w przyszłości nie dopuścić do upadku ze wszech miar pożądanego towarzystwa, i jeżeliby kiedyś z różnych powodów, czego nie przypuszcza miasto w razie potrzeby wspierać onego nie mogło, to liczy na gorący prtyotyzm pojedynczych obywateli, — przeszedł całą historyę rękodzieła w Polsce, wykazał świetne czasy przemysłu w tej gałęzi, porównał je z zagranicą i zwrócił uwagę na powody, dla czego tenże w ostatnich czasach u nas tak bardzo podupadł, tem więcej, że obcy ani bystroscią umysłu, ani zasobami materyałów nad nami nie górują, nakoniec zachęcił do pracy i nauki, gdyż kiedyś na nich przyjdzie kolej zająć stanowisko obrońców prawa wolności, by na niem stali jak przystoi prawdziwym obywatelom kraju i godnie przewodniczyć mogli młodszemu pokoleniu.

Po przemowie pana Bandurowskiego wystąpił pan Stanisław Szeligiewicz kurator towarzystwa, zacny obywatel i najczynniejszy wspólnie z sz. p. Boczkowskim, około przyprowadzenia do skutku myśli założenia towarzystwa, za co niech mi wolno będzie w imię młodzieży złożyć im serdeczną podziękę. Niechaj Bóg wynagrodzi szczere chęci dla dobra ogółu. Wasze imiona sz. panowie pozostaną w niezatartej pamięci u prawego syna Polski.

Mowa pana Szeligiewicza przyjemne bardzo na słuchaczach zrobiła wrażenie, pełna staropolskiej serdeczności i miłości Ojczyzny. Wezwał młodzież do pracy, do miłości ku wspólnej naszej matce, przyczem zwrócił szczególną uwagę na strój narodowy zachęcając gorąco do przywdziania tegoż jako godła jedności, motywując swe zapatrywanie w ten sposób: „żaden naród panowie nie wstydzi się nosić swego stroju, a Polacy, my dzieci wolności, pomiatamy czamarą i kontuszem, strojąc się w lokajskie fraki i cylindry — a gdyby przed 500 laty zmarły a niedawno powtórnie pochowany Kazimierz Wielki wstał, pewnieby nie poznał w jakim jest kraju, gorżko by zapłakał nad zniewieściałością swych wnuków, i wyrzekłszy się spruchniałej do szczętu szlachty, a niegodnej tego imienia, które niegdyś tak zacni dziadowie nasi przybrali, ona dziś z hańbą dla świata na sobie nosi. Serdeczną i w myśli piękne nader obfitą mowę, zakończył okrzykiem: niech żyje wolność, równość i braterstwo.

Podnoszę także szczodrobliwość niektórych obywateli, jako czyn godny publicznej wiadomości i tak p. Karol Polityński ofiarował na pierwsze zawiązanie 40 złr. a następnie obowiązał się 300 złr., książę Sanguszko obowiązał się przez trzy lata po 100 złr., dr. Starkel dał 120 tomów książek do księgozbioru. Oprócz tego wpłynęło z festynu narodowego 100 złr., i z teatru amatorskiego 100 zlr. (Dz. L.)

## Najnowsze odkrycia i wynalazki.

**Czarną powłokę na cynku** otrzymuje się w podobny sposób, jak czarną powłokę na mosiądzu z tą jedynie różnicą, iż się przy tém działaniu zamiast saletrzanu miedziowego (salpetersaures Kupferoxyd), saletrzanu manganezawego (salpetersaures Manganoxydul) używa. Tę materyę otrzymuje się przez rozpuszczenie węglanu manganezawego (Kohlensaures Manganoxydul) w rozlanym wodą kwasie azotowym (verdünnte Salpetersäure, Scheidewasser) aż do neutralizacyi. Jeźli się ten roztwór oględnie odparuje, tak otrzyma się wreszcie gęsty płyn, który podczas ochłodzenia twardnieje. By otrzymać dobry roztwór na czarną powłokę cynku, roztwiera się około 54 gramów tej soli w takiej ilości wody, by otrzymać litrę roztworu. Po siedmiorazowém nałożeniu i spaleniu tego płynu na cynku otrzymuje się powłokę czarną i bardzo trwałą.
(*Maszinenbauer*).

**Jako formy elastyczne** do odlewów gipsowych używano dotąd form klejowych, które powlékano lannym olejem, ponieważ gips twardniejąc cokolwiek się ogrzewa i galaretę klejową na powierzchni zmiękcza. Przez tę atoli olejną powłokę wyrazistość kształtu cierpi, dlategoteż używają teraz na formy galarety z chińskiej gelatyny, która się od wszelkich materyi, nawet od papieru bardzo łatwo oddziela. *D. Ind. Ztg.*

## Kronika miejscowa i zagraniczna.

**Józef Niewiadomski**, rodem z Galicyi były ksiądz katolicki, kapelan wojsk austryackich, następnie wojsk polskich w legionach na Węgrzech, na emigracyi członek tow. dem. polskiego i doktor medycyny w Paryżu, zmarł tamże 6. października 1869 r. przeżywszy lat 52. Stosownie do życzenia testamentowego pochowany cywilnie.

**Gwiazda przemyska**. W uzupełnieniu do powyżej podanej wiadomości dodajemy, iż w niedzielę dnia 14. b. m, po solennem nabożeństwie odbyło się poświęcenie lokalu „Gwiazdy" W licznem zgromadzeniu członków zwyczajnych i honorowych byli przedstawiciele całego Przemyśla, zacząwszy od Burmistrza p. Frankowskiego i prezesa „Gwiazdy" p. Wajgarta. Przemyscy obywatele pojmują całą wagę stowarzyszenia ubiegają się prawie o przystąpienie do niego jako członkowi honorowi. Rada miejska przyczyniła się do podniesienia młodych sił Gwiazdy datkiem 60 złr w. a. Wśród ogólnego zajęcia się rękodzielnikami, biorą także i księża chwalebny udział, co tem milej podnieść nam przychodzi, gdy sobie przypomniemy tyle razy i z różnych stron kraju podniesione skargi przeciw bezczynności i złej woli duchowieństwa, które nie wyjąwszy Lwowa, Gródka i t. d. występowało przeciw najzbawienniejszym czynnościom stowarzyszenia oświaty ludowej. Dzięki Bogu duchowieństwo w Przemyślu idzie razem z narodem drogą postępu, za co zupełne uznanie mu się należy.

Na koniec podajemy skład wydziału:

Dr. Waygart prezes — Lisiewicz ślusarz wiceprezes, — Wydziałowi: W. Szindler ślusarz, sekretarz — Albertshofer ogrodnik, skarbnik; Dęblowski krawiec; Komorowski stolarz; Kopestyński drukarz; Kiszakiewicz stelmach; Reszko stolarz; Szarkiewicz siedlarz. — Zastępcy wydziałowych: Ciszka kapelusznik; Kalwas ślusarz; Sryfer drukarz; Wilczek cukiernik.

**Wynagrodzenie za wyratowanie dwojga dzieci z płomieni.** C. k. Namiestnictwo galicyjskie przyznało Janowi Oryszczynowi, majstrowi szewskiemu w Bursztynie wynagrodzenie w kwocie 50 złr. za wyratowanie z płomieni dwojga dzieci podczas pożaru w Kuropatnikach w d. 16. września b. r.

## Przegląd politczny.

**Ziemie polskie.** Dnia 13 b. m. zakończył sejm Galicyjski swoje czynności. Nie można powiedzieć ze jego czynności wcale się krajowi nie przydadzą. Owszem jeżeli tylko uchwały sejmu naszego tyczące się szkół uzyskają cesarskie potwierdzenie, to już wiele zyskamy. Sądząc ze stanowiska słuszności, to nawet by nie można wątpić, iż ustawy naszego sejmu będą potwierdzone, ale jeżeli się zastanowimy nad drogami, któremi nasze żądania iść mają do cesarza, zupełnie inaczej nam się to przedstawi. Oto cesarzowi przedkładają ministrowie ustawy do potwierdzenia. Ministerstwo zaś dzisiejsze składa się z ludzi, którzy tylko uwzględniają interesa Niemców w monarchii austryackiej. Z tego wnosić możemy jak krucha i niepewna ta droga, którą do cesarza dostać się mają uchwały sejmu galicyjskiego. Inne prawa jak zeszłoroczna rezolucya sejmu naszego tego roku odnowiona musi przechodzić najpierwej przez obrady rajchsratu w Wiedniu. Rajschrat składa się z delegatów całej monarchii bez Węgrów, którzy mają swoje własne ministerstwo i bez delegatów czeskich którzy do Wiednia nie chcą jechać. Reszta delegatów tych co do Wiednia jadą razem z galicyjskimi składa się z większej połowy Niemców, którzy są ludźmi bardzo postępowymi i sprawiedliwymi gdzie idzie o niemieckie interesa, ale gdzie trzeba słuszność przyznać innym narodom pod berłem Austryi jak n. p. nam Polakom, tam ci rozumni ludzie postępują sobie po moskiewsku, albo po prostu po niemiecku, tam już nie ma słuszności. Ich względem nas zachowanie jest takie, że co twoje, to i moje i na tem już koniec, bo my to nietylko że do wspólnych korzyści nie należemy ale nawet jeszcze tego, co nam pozostawili nie jesteśmy pewnymi. Otóż nasze słuszne żądania są dziś znowu na łaskę i niełaskę zdane tej większości niemieckiej która nam nigdy nie przyznała słuszności. Ale i u nas w sejmie większość złożona z włościan większych i mniejszych posiadłości t. j. z tak zwanej szlachty i wieśniaków nie chciała zrozumieć, że my sami bez pośrednictwa rajchsratu dostalibyśmy u rządu potwierdzenia naszych słusznych żądań, gdyby się sejm był zgodził z posłem Smolką na nieobesłanie rady państwa. Lecz panowie nie chcieli bo się bali, a wieśniacy niechcieli się zgodzić na nieobesłanie, bo to ludzie uczciwi, zacni, ale do sejmu nie udolni.

Pojechała więc nasza delegacya do rajchsratu, ale zdaje się taksamo nic nie przywiezie, jak w przeszłym roku. Jeszcze jedno złe musimy wytknąć sejmowi. Dotychczas miasta w naszym sejmie są bardzo słabo zastąpione, mieszczaństwo ma mało posłów, a przecie u nas właśnie mieszczaństwo stoi najwyżej pod względem postępu i wykształcenia, a oprócz tego ma interesa, które powinny mieć w sejmie zastępców. Kraj pod tym względem już od dawna gwałtownie wymaga zmiany ustawy wyborczej. Już kilka razy podnoszono w sejmie tę sprawę, dopominali się wszyscy postępowi posłowie pomnożenia z miast liczby posłów, i tego roku także w sejmie ten wniosek był postawiony, ale większość właśnie tych wieśniaków mniejszych i większych posiadłości nie dopuściła do tego.

**Nr. 23 wyjdzie 5. Grudnia 1869.**

Odpowiedzialny redaktor Piotr Zbrożek. Nakładca Alfred Młocki. Czcionkami „Dzien. lw." Dr. H. Jasieńskiego.